

Myśli skonserwatywnionego pacyfisty

17 września 2014

[List pana Piotra Szumlewicza](#) wywołał słuszną burzę w środowisku Fundacji Wolność i Pokój. Mają rację ci, którzy wskazują na trwałą pułapkę „lewicowego” uzależnienia proradzieckiego. List jednak dotyczy kilku spraw, które warto i wypada na nowo przemyśleć.

MILITARYZM

Zastanawia mnie dialektyczny optymizm zakładający, że wiek XXI dla Europy będzie wiekiem pokoju. Sto lat temu też wiele publikacji w różnych krajach uznawały, że wojna w Europie jest niemożliwa. Polski przemysłowiec Jan Bloch przedstawił dokładnie w liczbach, że wojna będzie samobójstwem kontynentu; pod wpływem tej książki car Mikołaj II organizować zaczął konferencje pokojowe... Dwieście lat temu Kongres Wiedeński zakończyć miał epokę wojen, skonstruowany został mechanizm gwarantujący równowagę sił i dający prawo prewencyjnej likwidacji potencjalnych źródeł konfliktów zbrojnych. Jeszcze wcześniej można wymienić szereg traktatów pokojowych (np. Traktat w Augsburgu w 1555 r), po podpisaniu których wojny miały odejść w niepamięć. Nie ma, i nie może być, żadnych gwarancji trwałego pokoju... Ostatnie 70 lat w Europie nie jest regułą, lecz cudownym wyjątkiem od reguły.

Wojna jest złem. Ale złem jest także zwykłe morderstwo, kradzież, gwałt... Można zakładać, że wzrost wykształcenia i świadomości u mieszkańców Europy pozwoli wyeliminować tego typu zło. Ale ta optymistyczna wiara w możliwość stworzenia społeczeństwa tolerancyjnego nie zwalnia nas z utrzymywania policji. Policja, oczywiście, nigdy nie jest idealnym rozwiązaniem; czasem stanowi większe zagrożenie dla obywateli od swojskiej mafii. Ale mimo to, większość ze zdziwieniem

przyjęła by hasło likwidacji policji w imię lepszej ochrony praw jednostek. Podobnie z wojskiem. Pesymizm karze nas uwzględniać niebezpieczeństwo wojny. Silna armia może nas przed tym niebezpieczeństwem chronić; przynajmniej w takim zakresie, że atak na nasz kraj byłby dla napastnika mało opłacalny. Czy kierując się takim przekonaniem stajemy się militarystami? Czy chcąc by naszego bezpieczeństwa chroniła dobrze wyszkolona i wyposażona policja stajemy się zwolennikami państwa policyjnego?

Każda instytucja ma swoje własne cele, które nie zawsze są zgodne z celami ogólnymi. Każda instytucja może ulec swoistej demoralizacji, gdy wyłączona zostaje spod zbiorowej kontroli. Myślenie antymilitarystyczne nie polega na odrzuceniu armii, ale na stałym czuwaniu by państwo była własnością obywateli a nie generałów. Myślenie w kategoriach celów instytucji prowadzić może do efekciarstwa zamiast efektywności. Koncern PKP kupuje „pendolino”, bo chce pokazać swoją siłę; koncern „armia polska” z tych samych względów kupuje F-16... Dla obywatela mniejszą wagę ma marka kupowanych gadżetów; większą – gwarancja przyzwoitych warunków i przyzwoitego czasu przejazdu z Częstochowy do Wrocławia... Rezygnacja z udziału w dyskusji o przyszłości polskich sił zbrojnych, oznacza przyzwolenie, by za nas decydowali generałowie zauroczeni „pendolinami”.

Przy całej mojej niechęci do armii (wbitej mi w łeb 2-letnią musztrą), dopuszczam możliwość powrotu powszechnego poboru, by możliwie dużo ludzi przeszkolić w zakresie podstawowych umiejętności wojskowych. Utwierdza mnie w tym jeden fakt: na Ukrainie na front kierowana jest młodzież po tygodniowym szkoleniu... Rozumiem konieczność, ale jest to zbrodnia. To tak jakby stanem wyższej konieczności usprawiedliwić kierowanie samochodami po drogach publicznych przez osoby po kilkugodzinnym kursie nauki jazdy.

UKRAINA

Od Janiny Ochojskiej usłyszałem szokujące słowa; zbierając środki na działania PAH, łatwiej jest otrzymać datki na pomoc Filipińczykom niż dla Ukraińców. W teorii istnieje pewien „porządek miłości”; sprawy Ukrainy są nam bliższe niż problemy Hiszpanii; z większą empatią traktujemy problemy Hiszpanii niż dramaty w Senegal. Tak, po prostu, jest; istnieją tradycyjne więzi kulturowe uzasadniające takowy porządek. Na to jednak nakłada się inny stereotyp: pomoc dla Filipińczyków, ofiar trzęsienia ziemi w Iranie czy Haiti, epidemii w Liberii traktujemy jak czysty gest humanitarny. Pomoc dla Ukrainy ma już dla nas podtekst polityczny.

Jest to paradoks. Jeśli czyjś dom zniszczy powódź lub trzęsienie ziemi to zbieramy śpiwory, ubrania, żywność i spieszymy z pomocą ofiarom, nie pytając o jej poglądy polityczne czy wyznanie religijne. Gdy podobny dom zostanie zniszczony bombardowaniem wyrzutni rakietowych, zanim podejmiemy decyzje o udzieleniu pomocy ofiarom dokonujemy politycznej analizy.

Są dwa rodzaje hipokryzji rodzącej we mnie „białą gorączkę”. Pierwsza to „instrumentalizacja” naszej pomocy dla społeczeństwa walczącego o wolność. Wyraża się to przekonaniem, że powinniśmy popierać Ukraińców bo walczą (w zastępstwie za nas) z Rosją. Więc „na pohybel” Putinowi powinniśmy popierać najradykałniejsze partie, byle ten radykalizm był antyrosyjski.

Jest w tym ukryty cyniczny neokolonializm. Z pełnym szacunkiem: kim są Polacy by udzielać Ukraińcom lekcji patriotyzmu... Oni potrafią oddać swoje życie, za wartość jaką jest ich suwerenne państwo. My na rzecz własnego państwa nie chcemy nawet podatków płacić. Gdy ktoś chce walczyć z Rosją, niech robi to sam, osobiście podejmując ryzyko; a niech nie ogranicza się do zachęcania innych, by bohatercko ginęli w obronie naszych interesów.

Drugi rodzaj hipokryzji, to przekonanie, że nie powinniśmy

„drażnić niedźwiedzia” (jeździć na Majdan, pomagać w organizowaniu sprzeciwu obywatelskiego wobec skorumpowanej władzy itd), bo niedźwiedź się odwinie i nie zje naszych jabłek. Każde społeczeństwo ma prawo do dobrej władzy, a więc też prawo do sprzeciwu wobec złej władzy. Tak jak w czasach „Solidarności” mogliśmy liczyć na poparcie społeczeństw „wolnych państw”, gdy sprzeciwiliśmy się złej władzy; tak Ukraińcy mogli oczekiwać przynajmniej moralnego wsparcia od nas, gdy prowadzili swoją rewolucję pokojową. Poparcie dla „Solidarności”, wyrażane w latach 80-tych, przez zwykłe rodziny francuskie czy niemieckie; też wtedy tam uważano za sprzeczne z „ekonomicznymi interesami”. Wtedy też niedźwiedź Breżniew mógł się obrazić i nie kupować mercedesów czy win z Szampanii.

Myślenie real-polityków, przeliczających zachowanie na scenie międzynarodowej na dochody z handlu, prowadzi do zachwiania podstawowych wartości. Opłacalność nie jest, nie może być i mam nadzieję, że nigdy nie będzie jedynym miernikiem w wymianie handlowej. Dlaczego nie kupujemy kradzionego towaru od pasera, choć jest to dla nas korzystniejsze niż zakup od producenta? Dlaczego zaczynamy zwracać uwagę, czy kupowany produkt nie jest owocem niewolniczej pracy dzieci?

Wojna jest interesem, jedni tracą, drudzy zarabiają. Wzruszamy się cierpieniem producentów jabłek, myślimy jak im pomóc.. Nie chcemy jednak przyjąć do wiadomości, że na ukraińskiej wojnie zaczynają zarabiać nasze kopalnie; jak rozpieprzyli kopalnie w Donbasie Ukraina musi od nas kupować węgiel na zimę... Skorzysta też mogą na wojnie nasi producenci „kałachów” z Radomia, czy transporterów z Siemianowic. Myślenie real-polityczne prowadzić nas może, do konstatacji: niech oni tam na wschodzie tłuką się wzajemnie możliwie najdłużej. My najpierw zarobimy na sprzedaży broni, a potem na odbudowie po wojennych zniszczeniach.

Człowiek tylko tak długo zachowuje szacunek sam dla siebie, dopóki pozostaje wiernym wyznawanym kilku najprostszym

zasadom. Prawie każdy człowiek chce, przynajmniej w swoich oczach, być przyzwoitym. Ta zasada przenosi się na dobro ogólne, jakim jest państwo. Też chciałbym by moje państwo było przyzwoite. Może na nieprzyzwoitości lepiej się zarabia; ale jako typ staroświecki mówię: nie, dziękuję; wolę jeździć starym rowerem niż kradzionym mercedesem.

CZTO DIEŁAĆ?

Czto diełać – pytał kiedyś Lenin i sam sobie odpowiedział robiąc rewolucję i ograbiając podbitą Rosję. Co robić? Co może zrobić zwykły człowiek w obliczu nieszczęścia dotyczącego sąsiadów. Jeżeli ktoś publikujący na stronie określającej się jako „lewicowo”, chce by „lewicowość” kojarzyła się z przyzwoitością, to wypadałoby, by przynajmniej jakiś program minimum zaproponować. W przeciwnym wypadku owa krytyka militarizmu i „szkodliwego zaangażowania” w sprawę „wewnętrzne” sąsiedniego Imperium brzmi fałszem egoizmu. Byle nasza wieś spokojna, byle podatki niskie a świadczenia opiekuńcze wysokie, byle nasz handel kręcił się a fabryki rosły w górę... Też jestem za. Ale, przyzwyczajony do wiejskich obyczajów, jak widzę, że się sąsiadowi chałupa spaliła, to – choćbym go nie lubił – muszę zrezygnować z własnych przyjemności i pomóc mu przetrwać biedę i odbudować dom. Nie liczę wtedy na wzajemność, nawet na dozgonną wdzięczność; muszę tak zrobić, bo muszę, jest taka potrzeba i jest taki przymus moralny.

Kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt, tysięcy rodzin niemieckich zaangażowało się w 1982 r w bezpośrednią pomoc dla rodzin polskich opozycjonistów. Podobnie postąpiło kilkanaście (kilkadziesiąt) tysięcy rodzin francuskich. Sam byłem beneficjentem takiej pomocy; pamiętam swoje radosne wzruszenie, że o mojej rodzinie pamięta jakaś młoda mamusia 4 dzieci z małego francuskiego miasteczka oraz para bezdzietnych emerytów z Nadrenii. Ten osobisty przekaz był dla mnie większą wartością niż materialny wymiar otrzymywanych paczek.

Są rodziny na Ukrainie, które na nieszczęsnej wojnie utraciły swoich bliskich. Są rodziny, które opiekować się muszą ludźmi okaleczonymi przez wojnę. Są rodziny, które utraciły swój dom i dorobek życia. Polityka określająca stosunek między państwami jest domeną rządu. Naszym moralnym obowiązkiem, obowiązkiem zwykłych ludzi, jest pomoc ofiarom wojny. Od tego zaczynamy wszelką dyskusję o Ukrainie.

Autor: Jarosław Kapsa

Źródło: [Fundacja Wolność i Pokój](#)